

Janusz Orlikowski

Mesjanizm, czyli kim był Jezus?

„I przyszedł do Jerozolimy. Wszedłszy do świątyni, zaczął wyrzucać tych, którzy sprzedawali i kupowali w świątyni, powywracał stoły zmieniających pieniądze i ławki tych, którzy sprzedawali gołębie, i nie pozwolił, żeby kto przeniósł sprzęt jaki przez świątynię. Potem uczył ich mówiąc: – Czyż nie jest napisane: Mój dom ma być domem modlitwy dla wszystkich narodów, lecz wy uczyniliście z niego jaskinię zbójców” – czytamy w ewangelii Marka. Jeszcze drastyczniej ujmuje to Jan, który mówi o biczu sporządzonym przez Jezusa ze sznurów i z jego pomocą począł wyrzucać przekupniów. To jest jedyny akt agresji jaki znajdziemy we wszystkich pismach mówiących o Jego działalności. Niedaleką tego konsekwencją jest ukrzyżowanie. Agresja rodzi agresję można bez zmruczenia oka powiedzieć i stwierdzić, że to celowy zamiar Boga mający na celu tego ukazanie. Jakże inaczej to wytłumaczyć? Jezus nigdy nie był zwolennikiem jakichkolwiek siłowych rozwiązań, a do kwestii ukrzyżowania jeszcze wrócimy.

Słowo mesjasz pochodzi z języka hebrajskiego i jego synonimami są: pomazaniec, namaszczony, co na grecki tłumaczy się jako christos, czyli po polsku chrystus. Pierwotnie słowo to było używane w odniesieniu do arcykapłanów i jako tytuł królów oraz proroków, a także innych znamienitych osób, na przykład kapłanów – lewitów. Dopiero z czasem nabrało ono znaczenia doskonałego wybawcy, a w tym, dalej, eschatologicznego, określając osobę zapowiedzianą przez Jahwe, która ma przynieść ostateczne rozwiązanie problemu zła.

Zgodnie ze swą religią Izraelici takiego kogoś oczekiwali i notabene oczekują nadal. Miał on uwolnić ich od wszelkiego obcego panowania, ale również podnieść Izrael do rangi panującego nad światem. Taka nadzieja na przełomie starej i nowej ery była szeroko rozpowszechniona i nasilała się aż do upadku Jerozolimy w 70 roku. Takim kimś by mógł być z pewnością Bar Kochba, dowódca drugiej wojny żydowsko-rzymskiej zwanej powstaniem jego imieniem. Założył on niepodległe żydowskie państwo izraelskie, którym rządził, lecz zostało ono podbite przez Rzymian w 135 roku po dwóch latach wojny. Przez sławnego rabinę Akibę był on ogłoszony właśnie mesjaszem, jednak po nieudanym powstaniu wielu rabinackich pisarzy obarczyło go przydomkiem Bar Kozeba, co w języku aramejskim znaczy Syn Kłamstwa. Tak z Syna Gwiazdy (Bar Kochba) „zrodził się” Bar Kozeba, a w ocenie Euzebiusza z Cezarei, pisa-

rza, teologa i historyka chrześcijańskiego, biskupa w Cyzarei od 313 roku „był on tylko mordercą i rozbójnikiem”. To krzywdzące z pewnością twierdzenie ma swoje uzasadnienie w tym, że mesjasz dla chrześcijan mógł być tylko jeden i był nim, według ówczesnych, Jezus, któremu nadano przydomek Chrystus, choć On sam nigdy tak o sobie nie mówił. A w całym Nowym Testamencie – ten tytuł jest odnoszony do Niego. Żydzi w gruncie rzeczy oczekiwali czegoś innego. Właśnie przywódca militarnego i politycznego, który rozwiąże problemy im dziejącego się zła. Stąd Bar Kochba mógł być takim.

Ale przyszedł Jezus. Osoba, która poza agresją w świątyni przedstawioną na wstępie, nie widziała rozwiązywania problemów w postaci siłowej. Zło dobrem zwyciężaj, to jak najbardziej przystaje do Jego osoby, ba, jest tego prekursorem. Nigdy wcześniej nikt tak nie postawił spraw natury moralnej. Jezus nigdy nie wzywał do mesjanistycznej walki z Rzymianami. W Pawła Liście do Rzymian wręcz czytamy: „Každy niech będzie podany władzom, sprawującym rządy nad innymi. Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga, a te, które są, zostały ustanowione przez Boga. Kto więc sprzeciwia się władzy – przeciwstawia się porządkowi Bożemu”. Zatem w żaden sposób nie przystaje do Niego obraz mesjasza – przywódcy w sensie siłowym. Jak pisze Uta Ranke – Heinemann w książce „Nie i Amen”: „Jezus nie był mesjaszem i nie pragnął nim być. Wielu Żydów w tamtych czasach, łącznie z niektórymi Jego uczniami, chętnie by Go za takiego uznali i to właśnie związane z Nim oczekiwanie doprowadziło zapewne do Jego stracenia”. Czy tak było w istocie? Doprawdy wolna wola człowieka może wskazywać, że tak. A ta przecież jest przez Boga dana. Jeżeli więc nie oddziaływanie zbrojne pozostaje jedynie ofiarowanie w postaci oddania własnego życia.

Z ludzkiego punktu widzenia ukrzyżowanie Jezusa budziło i budzi kontrowersje. Na dobrą sprawę jest przeciw piątemu przykazaniu Starego Testamentu: nie zbijaj. Samobójstwo jest przecież zabójstwem samego siebie i jest złem. Dlaczego więc w przypadku Jezusa, by takim miało nie być? Chwila – ale dlaczego nazywam ukrzyżowanie samobójstwem? Przecież to było zabójstwo. Tak, lecz przecież Jezus, jako Syn Boży, doskonale wiedział, co ma nastąpić. Czy tak? A może biorąc pod uwagę wolną wolę człowieka „myślał” do końca, że tego uniknie? Gdyby tak się okazało, by było to Najwyższego wielkim zwycię-

stwem. A tak?... Ale sądzę, że takich „porażek” doznaje Bóg na co dzień i wcale się tym nie przejmując.

Jest niepodważalną prawdą, że każde militarne zwycięstwo to jednocześnie moralna porażka, bo okupiona śmiercią wielu istnień ludzkich. Z kolei ofiarowanie własnego życia w imię przelewu krwi, wielu zasługuje na wielki szacunek, choć nie rozwiązuje problemu ucisku, panoszącego się zła. Czy zatem jest potrzebne? Okazało się, że nie. Ofiarowanie krzyża nic przecież nie zmieniło w historii ludzkości. Zmiana mogła nastąpić tylko wtedy, gdy mówimy o zmartwychwstaniu. Gdy wkraczamy w rejony dostępne tylko Bogu.

Z czysto ludzkiego punktu widzenia trudno nazwać Jezusa mesjaszem, czyli chrystusem. I tu nawet mój laptop się buntuje, gdy piszę słowo chrystus małą literą podkreślając na czerwono. Tak bardzo wrósł w wielowiekową tradycję, że nie wie o czym piszę. Muszę mu to wybaczyć. Bóg z pewnością ma fajniejszy i ciekawy z jakiej litery u Niego pojawiło się to słowo, że pozwolę sobie na żart.

Powróć teraz do słów Uty Ranke-Heinemann, która twierdzi, że Jezus nie był mesjaszem, choć „Wielu Żydów w tamtych czasach, łącznie z niektórymi Jego uczniami, chętnie by Go za takiego uznali i to właśnie związane z Nim oczekiwanie doprowadziło zapewne do Jego stracenia”. (podkreśl. J.O.) Tak w istocie, Bóg pozwala nam żyć własnym życiem, ale dzięki już wspomnianej wolnej woli Jego oddziaływanie na nasze poczynania jest niejako ograniczona. Inaczej by nas zniewolił, to oczywiście. Tym sposobem ta wręcz organiczna, by tak rzec, siła tłum doprowadziła Boga (Jezusa) do dylematu: albo będziesz walczył i pokażesz poprzez to swą siłę (w domyśle: zwycięstwo), albo – i stąd Bóg (Jezus) mógł wybrać tylko jedno. Ten wybór, sądzę, nie był dla Niego oczywisty, ale jedynie możliwy. Wybrał mniejsze zło, by można powiedzieć. Gdyby była inna możliwość z pewnością by to uczynił.

Dlaczego nazywam Jezusa śmierć na krzyżu mniejszym złem? Jeżeli nawet pominiemy kwestię tego, że w moim odczuciu jest nie tyle zabójstwem, co samobójstwem, które stwarza dodatkowy problem moralny, to sama śmierć na krzyżu jako ofiarowanie w chrześcijaństwie za nasze grzechy budzi we mnie dylemat. Stajemy się przecież poprzez to niejako zakładnikami. Już nie nasza wolna decyduje o naszym postępowaniu, choć ona również, ale także owo zdarzenie. I to właśnie